



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie;

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

POGAWĘDKA.

Mówią ludzie, że wiosna już zawitała do nas. Patrzę na kalendarz wiszący nad biurkiem, przed którym znaczną część dnia i nocy przepędzam — i kalendarz wskazuje mi dzień 4-go Kwietnia; rozwieram okno — ciepło. Złotą falą kładzie się słońce na brukach miejskich i ścianach kamienie, nieskalany błękit widzę nad sobą, owiewa mnie powietrze wiosenne, technienie wiatru jest ciepłe, miękkie jakieś, rozkoszą powinno wypełnić pierś...

Powinno!...

Ogarnął mnie smutek głęboki...

Wiosna bez zapachu rozpękających krzewów, bez tych zdźbełek jasno-zielonej barwy wykluwających się z ziemi, bez wesołego świątku wróbla, gniazd jaskółczych i lotu ich mieszkańców, klekotów bocianich i żab sejmowych gwarów, strumieni spływających z wyżyn z jakimś srebrzystym szmerem, rozśpiewanych skowronków w kryształowych błękitach — nie jestże tylko ironią wiosny, mdłym obrazem tej wspaniałej królowej wszystkich pór roku?

Mieszkańcy miast nie znają wiosny, nie są przy najmniej nigdy świadkami jej tryumfalnego pochodu, jej królewskiego wejścia na tron. Cieszą się kilku blaskami słońca, kilku technieniami ciepłego powietrza.

Chciałbym wtorować im...

Niestety!...

Budzą się wspomnienia jakieś w duszy mojej, wspomnienia dawne, o których zapomnieć, których odtrącić nie mogę. Ich to jest winą, że smutek dzisiaj spoczął na dnie mej duszy, winą jest tych skowronkowych pieśni, których nie słyszę obecnie, tego budzącego się życia przyrody, któ-

rego nie czuję, będąc zamkniętym w ciasnych murach miasta. To ciepło, to słońce, to technienie wiatru, które mię owiało, pokryło chmurą mi czoło i zapadłem w sen jakiś smutny. Ale... mówią ludzie, że już wiosna zawitała do nas.

Jak szybko nadeszły, tak szybko i minęły święta. Pogoda dopisywała, więc roili się tłumy wzdłuż i wszcz po ulicach miasta. Nie próżnowały i tramwaje podmiejskie, ludęk spragniony uciech świątecznych dążył do Czerniakowa, do Willanowa się posuwał, a jak rojno i gwarne napełnił mokotowskie pole! Silną atrakcją ku temu były, jak zawsze: słupy, na których wierchołku spoczywały podarunki dla zwycięzcy, i — jakaś menażerya z niezwykle ciekawymi okazami zwierząt.

Tradycja wymaga, ażeby, jak dawniej plac ujazdowski, teraz mokotowskie pole nawiedzać. Chciałem się oprzeć temu musowi nie bez pewnej przyczyny. Przed laty kilku jeszcze czułem zadowolenie, patrząc na ten wir szalony rozbawionego ludu — teraz wiele jest rzeczy takich, których by się widzieć nie słyszeć nie chciało. Poszedłem jednak i wróciłem smutniejszy, niż przed tem byłem.

Dla czego?

Może w tem winą jest mojej młodości

Może tych...

Pamiętacie tę strofę z Beniowskiego?...

Czuję, że mi się nie klei dzisiejsza pogawędka z wami. Z trudnością mi przyszło ją zacząć, wiem, że i trudno z zakończeniem jej będzie. Po natchnieniu więc udałem się do miasta i za miasto, ale nie powróciłem o jedną choćby myśl bogatszy.

Na mieście rojno — za rogatkami jeszcze pustki. Jasną zielenią okrywają się już drzewa, nabrzmiewają paki krzewów bzowych, nie dostrzeżesz, jak białe i lilowe kity ich kwiatów każą ci się zbliżyć do siebie i mimowoli wyciągniesz rękę, szu-

kając drobnego kwiatka o listkach pięciu. Ale nim nas ten kwiat przynęci, całe życie miasta skupia się jeszcze wewnątrz jego murów. W małym uczęszczanym zawsze parku sieleckim spotkałem jakiegoś jegomościa o twarzy ponurej błędzącego samotnie pośród nieoczyszczonych jeszcze alei. Mrok już zapadał — spotkaliśmy się na zakręcie i mimowoli zmierzaliśmy się wzrokiem.

Jestem pewny, że rzuciliśmy sobie nawzajem milczące pytanie:

— I co ty robisz tutaj?...

Tak, nie inaczej, bo odpowiedzią było nieznaczenie prawie a jednocześnie wzruszenie ramion.

Minęliśmy się, ażeby znowu na jednym z mostków się spotkać. Tu jednocześnie odwróciliśmy się od siebie z widocznym gniewem.

Wyszedłem z parku i udałem się do Wójtówki. Nikogo!

Lokaje senni drzemali po kątach, bufetowa, znudzona próżnem oczekiwaniem na gości, niemiłosierdzie przeciągała się, ziewając głośno. Rozpromieniała, zobaczywszy mnie wchodzącego.

— Czem panu mogę służyć? wódką, piwem?... Hej — garson!

Nie pamiętam już czego zażądałem, usiadłem przy rozjaśnionej natychmiast lampie, patrząc bezmyślnie w drzwi wchodowe.

— Czy to u pani zawsze tak pełno gości? — spytałem.

— O, to wypadkiem pan taką pustkę zastał..

— Jeszcze nie rozpoczął się sezon zamiejskich spacerów?...

— To nie, szanowny panie — moja kuchnia przyciąga gości. Mięso świeże, masło świeże a ceny umiarkowane. Może pan dobrodziej spróbuje co z mięsa... Hej — garson!..

Zjadłem umiarkowanie, ale nieumiarkowanie zapłaciłem. Wychodząc, spotkałem mojego jegomościa z sieleckiego parku, który jakimś dzi-

wym wzrokiem politowania spoznał na mnie. Odplaciłem mu podobnie.

Czułem, że między nami przyjaźni-by nie było. Czy to spotkanie się i spojrzenie nasze nie byłoby dobrym początkiem do jakiejś sensacyjnej powieści?

Na drodze czerniakowskiej było pusto; jakiś samotny cyklista, próbował swojego żelaznego rumaka, ale minął tanią kuchnię wójtowieckiego zakładu, w którym garsoni znów drzemali po kątach a pani bufetowa niemiłosiernie przeciągała się, ziewając głośno.

Weześnie do nas zawitała wiosna, ale leniwie posuwa się naprzód. Gdy bzy rozkwitną, może pełniej będzie za miejskimi rogatkami i więcej treściwie; teraz potrzeba jeszcze przestać na murach Warszawy.

Dziwnie senno — nawet wystawa pośmiertnych obrazów Matejki nie mogła zelektryzować publiczności. Zarząd Salonu uskarża się na obojętność, i może słusznie. Nie wiem czy „Szał” Podkowińskiego dziką fantazją kompozycji przyciągnie tłumy.

Co o tym wielkim obrazie mówią prawdziwi znawcy i meze od krytyki — nie wiem. Zda mi się, że dotąd ostatniego swojego słowa nie wypowiedzieli. „Młodzi” są pełni zachwytu, podbiła ich niezwykła śmiałość kompozycji i ów utwór znanego malarza uważają za arcydzieło niemal. Zwiedzająca wystawę Zachęty Sztuk Pięknych przeciętna publiczność nie rozumiała znaczenia symbolu.

Słyszałem rozmowę taką:

— Co ten obraz przedstawia, niech mi pan powie? — pytała młoda kobieta towarzyszącego jej mężczyźnie.

— To, pani — jest... pegaz — odpowiedział, pewny siebie, młodzieniec.

— Dla czego się ta kobieta tak przyczepiła do niego?...

To pani — poezja!..

— A — rozumiem!..

Przypatrywano się z wielkim zajęciem Pegazowi i Poezji.

— W takiej pozycji na obrazie nigdy kobiety nie widziałam — mówiła poważna matrona, z pewnem oburzeniem.

— El co pani chce — tłumaczyła artystę jej towarzyszką — młody jeszcze, to odmalował sobie taki obraz.

I te panie zrozumiały dobrze.

Nie były one wyjątkami, przeciętny tłum widzów błakał się w labiryncie zagadek. Nie więc dziwnego, że to dzieło pędzla, ogólnie biorąc, wrażenia zrobić nie mogło.

Obraz Podkowińskiego, bądź co bądź, za ramy mierności stanowczo wychodzi. Dużo ma zalety ale też i wady niemałe. Ognista fantazja „Szału” podbija od razu widza, ale też od razu występują i olbrzymie błędy rysunkowe. Gdyby rumak był z taką dokładnością wymodelowany jak obejmująca go postać kobiety — nie prawie nie moglibyśmy zarzucić dziełu malarza. Mniejsza o karykaturalność kształtów rzuconego w jakiś zamęt powietrzny konia, ale stosunek zwierzęcia do unoszonej przez niego kobiety, jest stanowczo nieproporcjonalny.

Przypatrzmy się bliżej

Olbrzymi łeb konia z przepysznym okiem, w którym maluje się wyraz przestrachu i grozy — wymaga odpowiednich rozmiarów karku, którego kontur ginie zupełnie w czerności tła, ale chcąc mieć wyobrażenie o całości rumaka, musimy tę linię szyi końskiej w myśli swojej doprowadzić do grzbietu. Uczyńmy to, a wtedy zobaczymy, że mały pierścień ramion kobiety, takiej szyi otoczyć nie może. Rzeczona linia przeszłaby za korpus niewieściej postaci i uniknęłaby objęć. W ostatnim wypadku cienkość szyi końskiej w stosunku do całości olbrzymiego rumaka i ogromnych rozmiarów jego głowy — jest wprost niemożliwa. Otrzymujemy więc wrażenie takie, jakby wznieśiony łeb koniśki żadnego związku nie miał z resztą ciała. Mimowoli szukamy drugiej końskiej głowy, a nie znalazłszy jej, musimy się zadowolić, mistrzowskim rysunkiem kobiecego ciała, przepysznym wyrazem jej twarzy, w której widzimy szal, uniesienie, upojenie rozkoszne, zapo-

mnienie się bezbrzeżne, opanowanej namiętności oddanie się zupełne, bezkrytyczne. Rozwiana grzywa końska, łącząc się z ognistej barwy włosami szalenicy — dopełnia całości myśli, jaką autor w obrazie swoim chciał przedstawić. W ogóle rysunek kobiety jest wyborny, tu malarz pokonał pierwszorzędną trudność i dał dowód niezbity, że może być mistrzem pierwszej ręki. Dla tego miękkiego, doskonale wymodelowanego ciała, dla wyrazu tej twarzy, która przemawia do nas olbrzymią siłą i prawdą przedstawionej namiętności — zapominamy o wykrzywionych nogach konia i jego dysproporcji. Historia malarstwa naszego wzbogaconą została dziełem nie małej wagi.

Jeżeli, jak rzekliśmy, na przeciętnym ogóle zwiedzającej publiczności piękne dzieło Podkowińskiego głębszego nie czyni wrażenia i myśl artysty nie zupełnie zrozumianą zostanie, — ludzie mający serce i umiejący patrzeć w serce dojrzą tam nie tylko utwór rozbijający fantazji, ale coś innego może, coś, co leżało na dnie duszy twórcy i nie dawało mu spokoju, dopóki wielonem nie zostało. Kto wie, czy duży odłam życia malarza nie skrytykował się w tych gwałtownych ruchach pędzla; czy serce nie drgnęło gorączką jakąś, której moc przeczuć może tylko baczny obserwator i — znawca życia. Dla mnie obraz ten ma jeszcze niezmierną wartość z tego względu, że patrząc nań, mniemałem, iż mam przed sobą jedną z wydartych kart pamiętnika, którego w całości nikt nie zna i nikt nigdy nie pozna. Dzieło Podkowińskiego dla umysłów umiejących głębiej w dusze ludzkie patrzeć — obojętnem nie będzie i trwały po sobie ślad pozostawić musi. — Sądząc z wrastającego u nas zamilowania do sztuk pięknych — „Szał” na nabywcę długo czekać-by nie powinien.

Czy rzeczywiście to zamilowanie nie ulega żadnemu zakwestyonowaniu?... — spytaście mnie szanowni czytelnicy...

Sądzę, że tak... Zresztą coś o tem powiedzieć może i Salon Artystyczny przy Nowym-Swiecie i sprawozdanie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych za rok ubiegły.

W Salonie wystawiane obrazy bardzo szybko znajdują nabywców, prawda, że wiele znaczą ceny dostępne, jakie widzimy na kartkach wystawione. Jednak i parę obrazów Matejki większych rozmiarów, które już obrachowano na tysiące, w pierwszych dniach ich wystawienia rozkupione zostały, nie licząc szkiców ołówkowych, które często-kroć nie zbyt wyraźnymi nawet rysami odznaczają się, a których cena od 50 do 100 rubli wynosi.

A Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych?

Powoli, ale rok-rocznie wzrasta się liczba członków; powoli, ale rok-rocznie sprzedaje się większa ilość obrazów, coraz więcej osób zwiedza wystawę i dochód Towarzystwa zwiększa się stale. Ogólna liczba członków rzeczywistych w roku sprawozdawczym wynosiła 4,870 a przychód z tego źródła dał rs. 24,395. W r. z. za biletami płatnemi zwiedziło wystawę 30,892 osoby, więcej o 5,739 osób niż w roku poprzednim. Dochód z biletów wejścia Towarzystwa 2,927 rs. 30 kop.; razem więc z tych dwóch źródeł było: 28,322 30 kop., czyli w porównaniu z rokiem 1892 summa przychodu zwiększyła się o rs. 477 kop. 30. W ogólnej massie niby to różnica nie wielka, ale ma rzeczywistą wartość, gdy zważywszy na rok-roczny, niewielki, ale stały, postęp.

Doprawdy, nie jestem wcale ostrym sędzią naszego społeczeństwa. Może daje mniej nadmożność swoją, ale w każdym razie chętnie z każdą ofiarą pośpiesza. Nie brak też ludzi dobrej woli, którzy z chęcią poświęcają swój czas i pracę dla dobra ogółu.

Mamy przed sobą sprawozdanie z działalności „Rozdawnictwa” odzieży dla biednych” za rok 1893, pozostającego pod zarządem p. Zofii Hartingh-owej.

„Rozdawnictwo” zaczęło działalność swoją z początku sprawozdawczego roku bez żadnych środków i zapasów, nie posiadając przytem znajomości sfer zasługujących na jego opiekę. Z tego powodu — mówi sprawozdanie — działalność przedsiębiorców musiała się z konieczności rozdzielić na dwa główne odłamy:

a) zbieranie i zjednywanie ofiar i b) zbadanie stanu ubogich, proszących o wsparcie a to celem odróżnienia prawdziwie i najbardziej potrzebujących od wyzyskiwaczy ofiarności publicznej lub też niegodnych jej pomocy.

Myśl piękna, zadanie do przeprowadzenia niełatwe, bo biednych, prawdziwie biednych, jest legion, a jakimi środkami tej nędzy przysięść z pomocą i w jakiej formie tę pomoc użyć?..

Oto odpowiedź sprawozdania:

„Głównem życzeniem naszym było otrzymanie starego, znoszonego ubrania, bielizny i obuwia, na których nie zbywa w żadnym, nawet mniej zamożnym, domu i które to rzeczy często rozprasza się bezużytecznie, kiedy tymczasem udzielenie ich biednym nie obciąża wcale budżetu wydatków”.

Rozdawnictwo, jak wiemy, odzywało się niejednokrotnie drukowanym słowem do czytającego ogółu. Czy odezwy źle zrozumiane zostały, czy niejednen, przez wstyd fałszywy, nie chciał zużytego lachmana, lecz zdadnego jeszcze na pokrycie obnażonych pleców biedaka, przesłać do komitetu rozdawstwa — słowem: z tego źródła, jak dalszy ciąg sprawozdania powiada — najmniejszą odniesiono korzyść. Z Warszawy i z prowincji otrzymano do tysiąca sztuk zaledwie starego ubrania i bielizny, ale przysłane rzeczy były albo zupełnie zniszczone, nie przydatne więc do żadnego użytku albo — za zbyt kosztowne, z czego znów ludzie biedni rzeczywistej pomocy mieć nie mogli. Komitet rozdawstwa jednak ręk nie opuścił, i rad nie rad, wbrew swojej uprzedniej myśli, musiał odwołać się do miłosierdzia publicznego. Urządzono więc koncerty, zabawy dzieciinne i rabatowe sprzedaże.

Mozolniejsza to, kosztowniejsza i dłuższa droga, ale, jak dotąd, nim z nową myślą, choć bardzo prostą w założeniu, oswoimy się — jedyna prawie. Tą drogą, oraz przez ofiary nadsyłane na zakup odzieży, zebrano summe rs. 2,955 kop. 38, której też użyto na kupno gotowego ubrania męskiego, chustek ciepłych i obuwia, oraz różnego, najrozmaitszego materiału na przygotowanie odzieży i bielizny. Ostatecznie udzielono pomocy w roku sprawozdawczym 1893 — odzieży i, gdzie potrzeba było, gotówką: 1.103 kobietom, 251 mężczyznom i 3.472 dzieciom czyli ogółem: 4.826 osobom. „Drugie tyle prawie, niestety! dodaje sprawozdanie musieliśmy odprawić z niczem ze słowami nadziei tylko”.

Odzież, chociażby lichą, odzież pięć tysięcy osób — toż to nie mała jest rzecz. Kto mógł i chciał przypatrzeć się nędzy kryjącej się na poddaszach i w suterrenach domów — ten zrozumie doniosłość zawiązanego Towarzystwa. Zaczyna pani Hartingh zwracać się do publiczności z zapytaniem: „Czy mamy zaniechać działalności naszej na przyszłość, czy prowadzić ją dalej?”

Czy w tem pytaniu nie tkwi pewna nieufność do ogółu? Mamy nadzieję, że myśl zaczęta a w imię Boże poczęta, szerokie znajdzie echo w społeczeństwie naszym i szanowna sprawozdawczyni w następnym już roku tego pytania nie powtórzy.

??

Emancypantka Prusa.

Ostatnia powieść Prusa obiegała już tysiące czytelników i wywołała wśród nich mniej lub więcej silne wrażenie. „Emancypantki” poruszają myśl i budzą w wielu sercach uśpione, zapomniane, pleśnią czasu zarosłe uczucia. Myśl w czytelniku wskrzesza plastyczny obraz żywych postaci, które każdy albo znał, lub też przypuszczał, że zna; pojedyncze typy, z wyjątkiem chyba Laterowej, w świetnym psychologicznym studium zobrażonej, nie przedstawiają nic szczególnego, jeżeli je brać z osobna. Literatura nasza posiada już wiele podobnych postaci, o wiele dokładniej wyrzeźbionych. Wszyscy ci jednak ludzie, podrzędne

znaczenia w „Emanypantkach“ tworzą razem bardzo harmonijnie i wyraźnie utkane tło warunków, wśród których się wylania i rozwija postać bohaterki. O niej, to właśnie chcemy słów kilka powiedzieć, nie wdając się ani w rozbiór samej powieści, ani w jej artystyczną ocenę.

Magdalena Brzeska, córka ubogiego prowincjonalnego lekarza, skończyła pensję w Warszawie i została damą klasową w owym czasie, kiedy wielkie odkrycia i teorie naukowe zaczynały przedzierać się do naszego społeczeństwa. Była to epoka wygłaszania wielkich haseł i najzaciętszej walki publicystycznej w obozach zwanych konserwatywnym i postępowym. Teorie przyrodnicze, z darywinizmem na czele, rozbudzały w silniejszych głowach krytycyzm, w słabszych burzyły dawniejsze wierzenia, pozostawiając na ich miejscu pustkę. Poglądy ekonomiczno-społeczne, z mozołem na zachodzie Europy wypracowane, bez najmniejszego trudu przelatywały u nas ponad młodzieżą, zlekka muskając jej mózgi, a wyjątkowych tylko stałe obierając siedlisko. Wszystko to jednak było nowe, jak z igły zdjęte, imponowało śmiałością i szerokością pomysłów, niejedna zaś myśl tak była trafnie i w porę wymierzona, że padłszy, jak iskra, w posuchę, wznicełała płomienie zapалу i nadziei.

W owym to czasie, a niezbyt dawno to było, bo pomiędzy 1870 a 1880 rokiem, na naszej niwie literackiej kielkować zaczynała idea równouprawnienia kobiet, powołując do życia nowe pragnienia i szerokie roztwierając widnokręgi w świecie niewieścim. Nie w każdej, rozumie się, białogłowie teorie i rozprawy naukowe były zapowiedzią świtu: u jednych atmosferę duchową zapełniały tak ciemne tumany, że ich nie rozwidnić nie mogło; u drugich pierzchały tylko ołowiane chmury nagromadzone wiekami przesądów, zasłaniając ducha lekką mgłą nieświadomości, jedynie niekiedy na chwilę pozwalając przejrzeć jaśniejszym promieniom. Nieliczne tylko i wyjątkowe umysły kobiece, zbrojne w narzędzia samodzielnej krytyki, zasobne w zdobycze nauki, w szkole pracy i szerzego życia wyćwiczone, posiadały odpowiedni grunt, na którym idee emancypacyjne kielkować i harmonijnie rozrastać się mogły. Szare zaś masy przeważnie bierny w tym ruchu brały udział, tworząc niby ciasto dla fermentu idei. Myśli, teorie, hipotezy, a nadewszystko świeżo ukute frazesy, — ścierały się o prawo pierwszeństwa, pozostawiając nieraz kwasy w rodzinie, a przedwczesną gorycz w sercu dziewczyny, której niejedna dobra chęć i nadzieja spłonęła na własną ręką wzniesionym ołtarzu pesymizmu.

Lecz, o ile trudnem było wtargnięcie teorii do przybytku świadomości niewieściej, o tyle łatwemi i prostemi okazały się pierwsze objawy emancypacyjne tam, gdzie realne warunki twardego życia same przez się torowały drogę do samodzielnej pracy i myśli. Już w siódmym lat dziesiątku, wskutek zmienionych stosunków rolnych, oraz wzrostu przemysłu, materialny byt wielu dobrze i niedobrze urodzonych mocno się zachwiał. To z konieczności wywołało zmianę w stanowisku społecznym kobiety. Córki podupadłych ziemian potrzebowały pracować na utrzymanie swoje, kobiety zaś z ludu i uboższego mieszczaństwa, nie mając zarobku na miejscu, jąc się musiały pracy samodzielnej w fabrykach, pracowniach, w szkolnictwie, i t. p.

Na takim-to tle dziejowem przedstawia nam Prus swoją bohaterkę Madzię. Życie ekonomiczno-społeczne powołało do samodzielnej pracy taką zamożną niegdyś panią Later z całym zastępem jej pomocnic, biednych nauczycielek i dam klasowych, które własną pracą zdobywać musiały środki do życia i na własną rękę budować sobie „systemata“ wiedzy i moralności. Rzecz naturalna, iż samorodztwo złe zapłodniło nych idei i niezem nie podtrzymywanych „systematów“ nikomu na dobre wyjść nie może. Filozofia życia jednej z bohaterek powieści, Laterowej, oparta na spróchniałych filarach przetytego już dobrobytu i zachwianego monopolu szczęścia, runąć musiała, otwierając w swych gruzach grób dla niej samej. Szerokie plany

drugiej tu z kolei postaci kobiecej, Howardówny, najpobieżniej zeszkicowane, nieposiadające ani własnej skali, ani jednolitości, służą jej przez pewien czas za krzyżującą etykietkę, a potem idą do pieca, kiedy już reklamować się nie ma potrzeby. Ideały równouprawnienia Ady Solskiej, bogatej panny, która sama aż do zbytku praw i władzy posiada, skłaniają ją do równych z mężczyznami, uniwersyteckich, studyów, żeby się potem w hodowli porostów zapisać i dla samodzielności poszukiwań w życiu najniższych ustrojów zagrzebać uczucie dla najwznioślejszych porywów ludzkiego ducha. Tylko ze wszelkich praw odarte, w dziurawych trzewikach pracownice igły, nie wspinając się do wyżyn samodzielnej myśli, o własnych jedynie siłach zaspakajają pierwsze potrzeby życia, same radzą sobie w biedzie i we wzajemnej pomocy same szukają wyjścia z nędzy i niedoli. Tu się zaczyna prawdziwa dążność emancypacyjna, w tych sferach najwcześniej budzi się poczucie godności ludzkiej. Nie wiemy tylko, dlaczego autor, poruszając tę kwestję w swoich wolnych zgromadzeniach kobiet, wołał dziwolągi i czupiradła na pierwszy plan wysunąć, pozostawiając w cieniu postacie dodatnie.

Jedną z pośród nich, Madzia, wyrosła w sferze, stanowiącej coś pośredniego między szkołą wpływów teoretycznych a szkołą twardych okoliczności życia, które same przez się wymagają od człowieka osobistej pracy, osobistej myśli, praw osobistych, bo inaczej zginie. Umiarkowane środki materialne rodziców nie pozwalały dziewczynie marzyć o niebieskich migdałach, nie pozwalały w zbytkach i kalejdoskopie wciąż zmieniających się wrażeń uwieźć zmysłów wobec zupełnie realnych, a dokoła ważących się losów rozmaitych biedaków, zapracowanych i hultajów. Nie wzniesiona żadną czarodziejską ręką po nad tłumy cierpiących, a wiecznie zapracowanych istot, nie mogła Madzia nie dopatrzeć, zarówno w Iksinowie, jak i na ulicach Warszawy, wyblakłych ze znużenia twarzy, spracowanych rąk, rozpaczających wyciśniętych łez. — O bezmiarze nędzy, co prawda, pojęcia nie miała, zwiędziwszy bowiem jeden ze szpitali, dziwiła się, że Warszawa aż tylu chorych posiada. Lecz nie p trzebowała statystyki, żeby w swem sercu żywić najgorętsze dla bliźnich uczucie.

Wychowana w rodzinie, pracującej na własne i dzieci swych utrzymanie, liczącej się z każdym wydatkiem, Madzia musiała, nie tylko przywyknąć do skromnego życia, lecz i nauczyć się cenić pracę ludzką; musiała zrozumieć, a jeszcze więcej odczuć, że pracować każdy powinien, bez względu na płeć, przekonania, i t. d. Kochaną była w rodzinie i sama ją całym sercem kochała. Ojciec jej, Brzeski, był człowiekiem rozumnym o tyle, że nie pozwolił, aby się przesady szkodliwe mogły u jego córki gnieździć, poczucie zaś sprawiedliwości i zupełny brak egoizmu ojca musiał się udzielić Madzi, zwłaszcza, że go wysoce szanowała i gorąco kochała. Co do wykształcenia umysłowego, to ani rodzina, ani pensja nie potrafiły, czy może wcale nie usiłowały, rozszerzyć duchowego jej widnokręgu. Szczególniejszego braku jakichś niepospolitych zdolności nie znała wcale u Madzi; ma ona pewną dozę zdrowego, prostego rozsądku, a że się niekiedy (w powieści — często, bo jest streszczeniem życia) naiwną wydaje, to nie dowód, ani spaczenia logiki, ani też ubóstwa myśli, tylko skutek nieznajomości czarnych stron życia, głównie zaś zakulisowych stosunków miłosnych. Niezwykła to wprawdzie cecha panny, która skończyła już naukę pensjonarską, zupełnie jednak możebna; lecz w żadnym razie nie daje ona prawa odmawiania Madzi rozum, tak samo jak palenie papierosów i gawędy na temat miłosny nie przedzierzgała dzieci w dorosłych. Liczni czytelnicy i krytycy zarzucają Prusowi, że jego bohaterka zbyt jest naiwna; jeżeli przecież chodziło autorowi o stworzenie postaci niewieściej ze zwykłej gliny, bez żadnych tynków, malowideł i sztucznych sprężyn, o zupełnie prostą i szczerą naturę, a prztem najpospolitszy umysł, ani uprąży flirtu, ani żadnem konwencyonalnem kłamstwem nie zakazony, — to ciekawa rzecz: jakby taką prostotę miał przedstawić arty-

sta, nie uwytatniając najcharakterystyczniejszych dla publiczności cech prostoty? Gdyby Madzia np. nie myślała o wszechświecie, jak o sklepieniu ze skrzydeł i głów aniołków utkanem, gdyby nie powiedziała, że już do kogoś należy ponieważ Nórski ją pocałował, to dla scharakteryzowania jej prostoty, jej i nieznajomości, mało dla dążą do emancypacyjnych potrzebnej, kosmogonii oraz stosunków miłosnych, potrzeba byłoby napisać nie powieść, lecz traktat psychologiczno-filozoficzny.

Czyż inne postacie kobiece, taka np. Eufemia, albo ex-paralityczka Krukowska, mają więcej od Madzi posiadać rozumu dlatego, że zdobyły doświadczenie życia w ohydnych intrygach i związkach matrymonialnych? Albo czy teoretyczne formułki Nórskiego czynią go rozsądniejszym w życiu od Madzi, nie mówiąc już o rozległej, choć płytkiej, znajomości życia Howardówny z jej pustych słów frazesami?

Brzeska nie znała ani wielkich teorii naukowych, ani pałacowych kwestyi przez prassę rozdmuchiwanych i powtarzanych bezmyślnie w salonach; lecz jej serce zapalało się a myśl ożywiała na widok nędzy i boleści ludzkiej, szukając sposobu zaradzenia złemu. Współczucie i miłość dla bliźnich same się u niej zdradzały, rodzina uczuć tych w niej nie tłumila; przeciwnie, miłość rodzicielska była dla niej pierwszą miłością szkołą, bezinteresowności i gotowości ojca do służenia bliźnim zaznajamiały ją już w dzieciństwie z rozkoszą wzajemnej pomocy i dobroczynności.

Niezagłuszona w jej sercu miłość dla ludzi potęgowała się tylko mogła z dniem każdym, gdyż biednych, skrzywdzonych i opuszczonych pełno dokoła, a otrzeć łzy niedoli któż jej kiedy zabraniał? „C'est en faisant le bien qu'on devient bon“, a Madzia nie opuszczała żadnej sposobności wyświadczenia komuś czegoś dobrego; nie mogła być obojętną na widok cierpień ludzkich, to też zawsze złagodzić je śpieszyła. Wolna od wszelkich przesądów, dzielących ludzi na godnych i niegodnych wsparcia, litowała się zarówno nad odznaczającą się szykiem Laterową, jak i nad pogardzaną Stellą, zbyt może była naiwną, ale rozumiała to jedno tylko, że im więcej kto cierpi, tem bardziej potrzebuje pomocy. Nie przychodziło jej też do głowy, aby wędrowni artyści nie godni byli współczucia dlatego tylko, że są wędrowni, i że bieda zmusiła ich w jednym mieszkaniu pokoiu. Wogóle nie wiedziała i nie myślała o tem, żeby jedne biedy na świecie miały wzruszać kobiece tylko serca, inne zaś tylko męzkie.

Głównie dwie cechy wyróżniały Madzię spośród jej otoczenia, zarówno w Iksinowie, jak i w Warszawie po pierwsze — nie dzieliła ona uczuć humanitarnych na rodzaj męzki i żeński, powtórę — nie przyznawała mężczyznom monopolu pracy. Jak w niesieniu pomocy potrzebującym nie pytała o ich płeć, pochodzenie i stanowisko, tak samo w dążeniu swem do pracy nie odwoływała się do żadnych teorii ekonomicznych, bo ich nie znała, ani do przyszłego prawodawstwa, zapewniającego obu płciom jednakowy udział w wytwarzaniu bogactw. Inne jej przymioty, jak bezwzględna prawdomówność, szczerłość, skromne o sobie rozumienie, brak kokieteryi, niechęć do zbytków — wynosiły ją ponad ogół wyższym tylko stopniem rozwoju. I chociaż czarująca piękność Madzi, zupełnie nieświadomej wdzięku swych ciała i duszy, podbijała serca młodzieńców i zwracała im głowy, główne cechy jej charakteru: ogół ogarniająca miłość bliźniego i dążność do pracy produkcyjnej, nie dawały spokoju szanownym damom z przyzwoitego towarzystwa. To też zasłużyła sobie u nich na miano emancypantki, do którego się sama nie przyznawała, a nie lubiła tych dam głównie dlatego, że „są one jakieś inne“.

Co ją wreszcie miały obchodzić górnolotne deklaracje Howardówny o emancypacji, których ona ani rozumiała, ani zastosować nie mogła? Znała przecież położenie rodziców i czuła, że nie powinna być dla nich ciężarem. Gdy ojciec najczulej ją zapewniał, że jest ich błogosławieństwem, Madzia się ich nie wyrzekała, lecz stanowczo twierdziła, że musi coś robić. „Przecież potrzebuję jeść, ubierać się, mieszkać“ — mówiła.

— To wszystko masz w domu — rzekła matka.
— Ach, mamol... mamol... — wybuchnęła Madzia. — Czyż ja mogę żyć tak bez celu i pracy?.. czy mogę jeść wasz chleb, którego każdy kawałek mnie dławi, jak gdyby był kradzionym?..

— Tatuchnu, ty mnie zrozumiej, ty mi poradz. „bo ja nie mogę karmić się waszą pracą i niedostatkiem“ — wołała, a kiedy projekta Madzi: założenia szkółki w Iksinowie, po wielu usiłowaniach mocno zachwiane zostały, energia jej w walce z przeciwnościami wcale nie ustępowała. W razie niepowodzeń w rodzinnym miasteczku postanowiła jechać do Warszawy, żeby się własną siłą utrzymywać, zebrać pieniądze, i wróciwszy do domu, plan swój przeprowadzić.

Ani jej nauczycielskie zamiary, ani dobroczynność nie razily Brzeskiego: zawiele miał na to rozumu; lecz myśl o wyjeździe ukochanej córki smutkiem napętniła ojcowskie serce. „Co to za straszna burza przelatuje nad naszymi głowami, która dzieci porywa ojcom?.. — pytał doktor. — To ma być emancypacya!..“

Madzia objęła go za szyję i cicho zapytała:

— A Zdzisław?.. Przecież on już poszedł na własny chleb i Bóg wie, kiedy go zobaczymy.

— Chłopczy zawsze opuszczali dom... Ale córkil..

— A jak córka wyszła za męża, tatuchnu, to co?.. Nie opuszczała domu?..

— Tak — rzekł po chwili — masz słusność. Tylko, widzisz, dziewczyna, wychodząc zamąż, znajduje opiekę — w mężu...

— A jak mąż nie nie wart?..

Projekt Madzi: założenia pensyjki w Iksinowie, nie rozehwiać nie mogło, ani złośliwe plotki szanownych Iksinowian, ani czułe lub niekiedy groźne uwagi pani Brzeskiej, ani setki niepowodzeń i trudności. Lecz oto dowiaduje się dziewczę, że jej pensyjka odebrałaby chleb miejscowemu biednemu nauczycielowi, i w chwili, kiedy jej upragnione zamiary już stają się czynem, kiedy z taką trudnością pierwsze przełamała lody, oświadcza rodzinie i znajomym, że „musi“ zaniechać projektu, gdyż „nie może rujnować bytu całej rodziny... nie może odrywać dzieci od matki i ojca... Jakążby to była sprawiedliwość, gdyby zginął człowiek po kilkunastu latach pracy!..“ Ona mogła tylko współdziałać, lecz stawać do walki konkurencyjnej i choćby w mimowolnem współzawodnictwie przyczyniać się do ruiny czyjejs — tego za nie uczynić-by nie mogła. Nie zniosłaby tego ani jej miłość ludzi, ani poczucie sprawiedliwości.

Ileż nocy bezsennych spędziła, ile łez wylała, ile upokorzeń i trudów zniosła, aby spełnić najświętszy swój obowiązek, ukochaną myśl swoją nauczania dzieci nareszcie w życie wprowadzić! — a jednak widmo współzawodnictwa nasunęło przed jej oczy całą zgrozę nędzy i niesprawiedliwości, którychby ona sama stała się powodem. W bardziej rozbudzonym umyśle byłoby to dźwignią do roztwarcia nowych widnokręgów, o wiele dalej, niż iksinowskie stosunki Madzi sięgających; lecz jej dobroczynność w żaden system ujętą nie była, ofiary zaś niedoli na świecie same się podług niej zjawiały: nie odgadywała piekła, w którym się pasmo bied ludzkich wykuwa.

Niechając więc być narzędziem, czy może tylko jednym z kółek zębatych, w mechanizmie ścierającym byt całych rodzin, wyjechała do Warszawy aby dawać lekcje. Tu poświęciła się pracy nauczycielskiej, w nadziei, że za rok, dwa będzie mogła otworzyć szkółkę przy fabryce Solskiego. Będąc jeszcze z rodzicami w Iksinowie, potrzebowała pomocy i rady, prosiła nieraz o nią swego tatusia, o ileż więcej potrzeba ta wzrosła wśród obcych na warszawskim bruku! Lecz jeżeli ojciec udzielał jej wskazówek, tylko będąc koniecznością przyparty do muru, to od kogóż mogła się ich spodziewać w Warszawie? Dobrzy ludzie: Malinowska i Dębicki, byli jej niewątpliwie wielką pomocą, dostarczając lekcji i rekomendacji, lecz drogowskazów dla myśli i podpory moralnej nikąd nie miała. Bardzo szczupły zapas jej wiedzy nie tylko nie pozwalał stawiać na faktach i logice opartych horoskopów przyszłości, lecz i w teraźniejszości bezsilnym się okazał wobec

miotających jej duszę zwątpień, wobec naciśku tłoczących się dokoła drobnych niepowodzeń.

Miłość ludzi, połączona z nieprzepartem dążeniem niesienia im pomocy, oraz przeświadczenie o konieczności pracy mogły się same wyłonić, nawet wszystkie skutki owej dążeńności Madzi, — które nadawały jej pozór i sławę emancypantki, całkiem żywiłowo z miłości, poczucia prawdy i sprawiedliwości wynurzać się mogły; lecz jej działalność, rozwijająca się luźnie, bez głębszej znajomości życia, bez świadomości szerszych celów i dróg ku nim wiodących, zachwiać się lub zamrzeć całkiem musiała.

A Dębicki? Jego teorye, w rozmyślaniach gabinetowych wylęte, mogły dać kilka cennych wskazówek filozofowi, lecz człowiekowi czynu, potrzebującemu filozofii życia, wskazań praktycznych, światła rozjaśniającego ciemne drogi bytu, nie one nie dawały. Oderwane od świata rzeczywistości karkołomne wycieczki Dębickiego w krainę „niepoznawalną“ obalamowały tylko słabe głowy. Madzia hipnotyzowała się jego wykładami tak samo, jak Howardówna upajała się niezrozumiałymi dla niej rozprawami o emancypacji kobiet. Jeżeli bezmyślne gawędy Norskiego o znikomości materii i ducha mogły podkopać w Madzi podstawy poglądu jej na świat, zachwiać w niej równowagę duchową, to przywrócenie tej równowagi przez Dębickiego, może zresztą chwilowe, ani hartu i szerokości myśli, ani kierunku woli nadać nie miało siły. Madzia była zdolna tylko czuć i działać, kochać ludzi i pomagać im w biedzie. Lecz jej uczucie i popęd do czynu były jak fala świetlna, która do nieskończoności zmierza, a napotykając na drodze swej zapory, rozszczepia się na tysiące fal innych, przełamuje i ginie gdzieś w przestworach. Dla Madzi nie było nic, co by mogło promienięjącą jej miłość w jednym skupię ognisku; wciąż wzbierające w niej uczucia na wszystkie rozlewały się strony. Odziewa ona i uczy dzieci lokajskie, pragnie ratować Laterową, wyszukuje posady Fajkowskim, oddala śmierć od Stelli, opiekuje się jej dzieckiem, chce sprostować zwyrodniałą naturę Norskiego, chodzi na zgromadzenia szwaczek i dla pociechy znudzonej Ady sprowadza jej kanarki. Na widnokregu Madzi nie zabłysła jeszcze żadna gwiazda przewodnia, życie jej toczyło się samo przez się, jak górski potok, niewyczerpanem podsycany źródłem, a źródłem była miłość ludzi i potrzeba pracy, ujęta w niezbyt szerokie, lecz głębokie poczucie sprawiedliwości.

Sądzimy, że bohaterka Prusa była taką nie dlatego, aby jej twórca „lubił małe idee“, ale dlatego tylko, że nieuprawna podówczas gleba społeczna tudzież brak dostatecznego światła rodziły karłowate, przedwcześnie wiedzące istoty lub też wynurzały z najzdrowszych ziarn — najpiękniejsze kwiaty. Jednym z takich kwiatów, który z rodzimego nasienia, bez żadnej sztucznej uprawy, w najpiękniejszych barwach wybujał, była właśnie Madzia. Jej uczucia i najelementarniejsze dążności emancypacyjne rozkwitły w wiosennej dobie umysłowego odrodzenia kobiet; najpiękniejszy kwiat, pozbawiony promieni słońca, owocu mi wydał, a nawet z rozczarowania i smutku listki swe stulił.

Lecz grunt społecznego życia wciąż się urabiał, a światło z coraz jaśniejszej i wyższej sfery płynęło, idea równouprawnienia kobiet w szerokim rozwarła się rnehu, a dosięgłszy szczytów poznania, zlała się w harmonijny akord ogólnoludzkich dążeń do szczęścia powszechnego. W niniejszej powieści zobrazował Prus pierwszą fazę kobiecego ruchu, w najlepszych swych przejawach samorodnego i bezwiednego. Obecnie z upragnieniem wyczekiwać będziemy ilustracji tego rodzaju idei świadomej, w najważniejsze formy życia skryształizowanej. Jeżeli Madzia była najpiękniejszym naszym kwiatem emancypacji, to owoc jej nie dojrzał jeszcze pod piórem naszych artystów.

Rozpatrując *Emancypantki* ze stanowiska społeczno-wychowawczego, powieści tej przyznać należy bardzo ważne znaczenie; Madzia bowiem, jako wcielenie zasadniczych pierwiastków ruchu emancypacyjnego, z całą prostotą warunków,

wśród których wyrosła, o wiele więcej umysłów i serc poruszy, niżby to mogła uczynić pionierka jakichś idei choćby najwyższych, ale mało dla ogółu dostępnych.

S. Karpowicz.

BEZ WOLI

POWIEŚĆ

przez

WANĘ GROT BĘCZKOWSKĄ.

— Stefanie, uspokój się!.. Bądź mężnym!

— Jestem spokojny; mów śmiało: Czy... czy niema żadnej nadziei...

Pytanie to rzucił Stefan Rumszański, lat trzydzieści kilka mający, dziedzic Rumszańskich włości, na parę mil rozległych dokoła.

— Mów, jestem spokojny — powtórzył.

Śmiertelna bladeść twarzy i dreszcz febryczny, wstrząsający ciałem, zapewnieniu temu przeczyły.

Stojący przed nim lekarz, kolega i przyjaciel pytającego, odwrócił się szybko do okna, zmarszczył brew i milczał.

Stefan jęknął głucho.

— Milczysz? A jednak, Wacławie, ty mi ją uratować musisz — zawołał gwałtownie.

— Musisz, rozumiesz? Telegrafuj do Wiednia, do Paryża, gdzie chcesz; zwołaj medyków, choćby z całego świata; radźcie, róbcie co chcecie, — ale ona żyć musi!

— Musi! — powtarzał z zaciętym uporem i jak szalony zaczął biegać po pokoju. Doktor podszedł ku niemu.

— Stefanie — zaczął znowu.

Stefan rzucił się wściekły.

— Tylko, mój kochany, krótko i węzłowato proszę cię! — zawołał, stając przed nim.

— Jest nadzieja czy nie? Chcę raz nareszcie wiedzieć prawdę.

Doktor ujął go za rękę.

— Zmuszasz mię do spełnienia ciężkiego obowiązku, — rzekł już bez wahania. — Chciałem, abyś się sam tego domyślił!

— Milez, milez na Boga! — krzyknął okropnym głosem Stefan. — Nie chcę nic słyszeć, o niczem wiedzieć.

— Odejdź, odejdź odemnie!

Doktor przemocą schwycił go w objęcia.

— Stefanie, przyjacielu, bracie mój, bądź mężnym! Pamiętaj o matce, która ciebie tylko jednego ma na świecie; pamiętaj o dziecku...

Z piersi Stefana wydobyło się łkanie do jęku podobne — suche łkanie bez łez, rozpierające piersi bólem nad bólem.

— Więc niema nadziei? — szepnął, niema nadziei?..

— Ach to uczucie bezsilności — zawołał po chwili, łamiąc ręce aż stawy trzeszczały. — To uczucie bezsilności, to naigrawanie się tej potęgi, która po to chyba kazała żyć człowiekowi, aby całe życie wiedział, że jest niczem!

Doktor położył mu rękę na ramieniu.

— Stefanie, — rzekł surowo — szlachetna boleść nie objawia się w ten sposób.

Nie sądzmy i nie dociekajmy. Na co się zdadzą narzekania i targania bezowocne?

— Więc pytam: poco żyjemy? — wybuchnął znowu Stefan. — Poco? Dlaczego? Czy nas pytano? Czyśmy chcieli? Jak atomy rzucone w przestrzeń wirujemy, popychani jakąś niewidzialną siłą, staczamy się w przepaść, lub podnosimy, bez woli, bez świadomości.

Doktor patrzył na niego z boleścią.

— Przykro mi, że to słyszę — rzekł.

Lat temu kilkanaście, dysputowaliśmy wiele w tej kwestyi i doszliśmy do racjonalnego przekonania, że są rzeczy, o których najlepiej nie

mówić i nie myśleć. Zresztą... ty, Stefanie, syn takiej matki, karmiony od dzieciństwa przykładami przodków, którzy na ślepo wierzyli i korzyli mężne serca i harde umysły wobec tej potęgi, której ty bluźnisz obecnie, powinienes być oprzeć się temu nowemu prądowi, który czyni krzywdę człowiekowi, odbierając mu wiarę.

Bierz przykład z matki.

Ile ciosów już w nią uderzyło, ile bólów łamało jej serce, a czy widziałeś ją kiedy narzekającą lub wątpiącą?

Weź od niej trochę wiary, Stefanie.

Niech myśl o tem, że roztajesz się z żoną chwylowo tylko, da ci siłę do zniesienia tego roztania.

— Aaa!.. — zaśmiał się Stefan dziko.

Śliczne mi bajki opowiadasz!

Obiecujesz mi spotkanie kiedyś gdzieś na gwiazdach, czy na księżycu... Fragment młodości, mój kochany! — dobry dla głupców. Za stary jestem, abym w bajki wierzył.

— Ha, ha, ha!.. śmiał się nerwowym, szalonym śmiechem, w którym drgały namiętne dźwięki bólu i rozpacz. Doktor odszedł do okna.

— Wszelkie perswazyje drażnią go tylko, — mrknął.

Śmiech Stefana umilkł. Pierwszy gwałtowny wybuch boleści rozplątał się w łzy, które płynęły teraz swobodnie po bladej twarzy.

— Gdybym mógł wierzyć... — szeptał, gdybym mógł wierzyć, że ją odzyskam kiedyś... tę moją ukochaną...

Doktor podbiegł szybko i wziął go w objęcia. — Wierz, przyjacielu, wierz i niech ci z tą wiarą lżej będzie! — mówił z uczuciem, tuląc głowę Stefana do piersi.

— Nam nie wolno upadać pod brzemieniem osobistego smutku. Nie wolno, bracie drogi!

Stefan objął szyję przyjaciela serdecznym uściskiem.

— Dziękuję ci! — szepnął. — Przebac i zapomnij o mej słabości. Chcę być silnym i będę nim. Potrzeba mi siły, abym skruszył tego nędznika. Przyjaciel, ukochany, towarzysz lat dziecińczy!.. A!.. jak to boli! — Schwył się za głowę i zatoczył jak pijany. Doktor chciał go podtrzymać.

— Nie, nie mój drogi! Zostaw mnie, proszę cię! Nie mi nie jest... Silny jestem, wytrzymam.

Na biurku stała otwarta skrzynka doktora z narzędziami chirurgicznymi.

Stefan spojrział i błyszcząca stal zaczęła go przyciągać.

Nim się doktor opamiętał, stalowe narzędzia w żelaznych rękach Stefana pokruszyły się na kawałki.

Szał rozpacz nianowo nim zawładnął. Doktor podszedł do dzwonka i nacisnął sprężynę. Stary kamerdyner Maciej ukazał się we drzwiach.

— Poprosić jaśnie panią — rozkazał doktor, ale Maciej nie słyszał.

W kilku skokach przebiegł pokój i stanął przy Stefanie.

— Jaśnie panie... szepnął głosem łzami nabrzmiałym, paniezu mój serdeczny! O miły Boże czego to moje stare oczy oczekiwały!

Schylił siwą głowę i ukląkł przed panem.

— Paniezu!.. proszę, jaśnie panie, a wiara gdzie a Bóg? Czy to jeden cierpi... o paniezu!.. Stefanowi żyły na skroniach nabiegły.

— Precz! — krzyknął. — Precz, bo nie odpowiadam za siebie. Wiara, Bóg! To wierz-że sobie, stary głupcze, ale mnie daj pokój.

— Precz odemnie!

Maciej ani się ruszył. Zażławione oczy podniósł na pana i przemówił znowu.

— Toście wy chyba nie ten, paniezu, którego ja na rękach nosiłem, szabelki strugałem, na koniu jeździć uczyłem...

Chyba nie ten! Tamten to wiarę ojców szanował, o szanował. Paniezu mój serdeczny! Bóg ci jedno kochanie zabiera, wola jego święta; ale czy to wy ino jedną panią kochacie? A stara matka to już za nic? A dzieciątko rodzone za nic?..

Głos mu się złamał łkaniem, łzy po zmarszczonej twarzy ciekły.

Doktor stłumił łzę co mu kurczem w gardle stanęła i wyszedł.

— Stary pocziwiec najlepiej sobie z nim poradzi, — rzekł do siebie — przebiegając ogromną sien i do drzwi w lewym skrzydle pałacu zastukał lekko.

— A co tam? — spytał służącej, która mu otworzyła.

— Śpi teraz — odpowiedziała. — Ale co się też jaśnie pani naśpiewała, co się naśmiała... Słuchać nie można było.

— Starsza pani aż z pokoju uciekła.

Czy pan doktor pójdzie dalej?

— Owszem; zobaczę chorą — odparł i wszedł do sypialnej komnaty.

Czyżby kto mógł przypuścić, patrząc na wesole słońca promienie, ślizgające się po ścianach różowym adamaszkiem obitych, na otwarte okna, przez które płynęło pełne balsamicznej woni czerwcowe powietrze, i na tę śliczną kobietę, uśpioną w obłokach batystów i koronek, że tu odbywa się jedna z tych walk tajemniczych, nieodcieczonych, wobec której wszystko ustąpić musi?

Przejście w słoneczną krainę wieczystych rozkoszy, czy zapadnięcie w nicość... Olbrzymi znak pytania, na który ani terazniejszość, ani przyszłość ze wszystkimi wyskokami cywilizacji odpowiedzi nie znajdzie.

Chora spała.

Oddychała ciężko i chwytiała ustami powietrze. Usta te, najpiękniejsze jakie wymarzyć można, czerwieniły się purpurą na liliowo-białej twarzy.

Wąskie czoło o greckim zarysie, odbijało białością marmuru od ciemnych loków, spadających bezładnie.

Doktor stanął przy łóżku i wpatrzył się w chorą.

Pewnym był, że walka skończy się śmiercią, ale oczekiwał jeszcze, czegoś cudownego chyba, co-by to młode życie zatrzymało.

Usta chorej poruszyły się lekko.

— Jaka prześliczna suknia — szepnęła.

Tylko róż, róż jaknajwięcej i liści zielonych, liści dużo... — zaśmiała się i umilkła.

Doktor ramionami wzruszył.

— Motyli ród — szepnął do siebie — Piankowe istoty!.. A tam, ten biedak głową o mur trzaska!..

Ręce chorej zaczęły szarpać koronkowy kaftanik.

Kilka tonów ulubionej snadź piosenki wpłynęło z jej piersi — tonów świeżych, metalicznych.

„Das Leben ist ja nur ein Traum...“ — śpiewała z dziwnie przejmującym akcentem i otworzyła oczy, wielkie, ciemne, świecące nienaturalnym blaskiem.

— Gorąco mi... duszno... — szepnęła przytomniej.

— Pić!.. ach pić!.. dużo... dużo wody. Całe źródła, całe morza... — bredziła znowu.

Doktor odwrócił się do stolika, zmieszał proszek z wodą i przyłożył szklankę do ust chorej.

Zapomniała już o poprzednim żądaniu. W oczach miała wyraz przestachu, pociągająca koldrę wysoko i zakrywała twarz koronkowym rękawem.

— Kto tam stoi? — pytała. Kto to??

Doktor schwył ją za rękę.

— Wypij pani, — rzekł prosząco.

Odepcnęła go.

— Boję się, szeptała — boję się... Stefanie, ja się boję!.. Gdzie Stefan? — krzyknęła przeraźliwie.

— Poprosić pana, — rozkazał doktor.

Służąca wybiegła szybko.

Chora uspokoiła się i przymknęła oczy.

— „Das Leben“... — zanuciła w pół senna.

Doktor wziął ją za puls i obejrzał się na drzwi niespokojnie.

Służąca wróciła.

— Jaśnie pan zemdlął, — rzekła z cicha.

Starsza pani jest przy panu.

Doktor westchnął.

— Biedak, — szepnął z żalem: — Ale to może i lepiej. Teraz powinna nastąpić reakcja.

Zwrócił się do chorej.

Srebrny jej śmiech przykro mu w uszach zadźwięczał.

Śmiała się z isticie dziecianną — pustotą. Na czoło wystąpiły gęste krople potu.

— Gorąco... duszno... — szeptała, krzywiąc usta.

Zaczęła szarpać na sobie kaftanik, rozerwała rękaw; białe, puszyste jak aksamit, ramię wysunęło się ze strzępów koronek.

Ta umierająca kobieta, o ciele greckiem, o ciemnych oczach ściganej gazelli, była tak cudnie piękna, że doktor mimowiednie patrzył na nią z żalem i zachwytem.

Różowa portyera rozsunała się lekko.

Stefan z matką wsunął się do sypialni.

Był bardzo blady, ale spokojny.

Z uśmiechem nieopisanej tkliwości zbliżył się do łóżka i wpatrzył się w chorą.

— Lili — szepnął — Lili moja!..

Patrzyła na niego, ale nie poznała go. Proces jakiś odbywał się w jej mózgu.

Pocierała dłonią czoło, zsuwała brew, oczy biegały jej niespokojnie...

Stefan patrzył na nią długo, potem zwrócił wzrok na doktora.

Ile w tych oczach było bólu i śmiertelnej trwogi!

Doktor domyślił się pytania, którego tamten nie był w stanie wypowiedzieć.

— Nie wiem... — szepnął. — Nie wiem!

Usunął się na bok, matka Stefana schwyłała go za rękę i pociągnęła w głąb pokoju.

— Cóż myślisz? — mój doktorze, — pytała niespokojnie. Jakże chora...

Doktor ramionami wzruszył.

— Pani szanowna, — odparł: Co tu już myśleć można? Ratunku niema; powiedziałem to odrazu. Organizm wady, i pomimo to, po dwóch tygodniach taki wyskok, takie zmęczenie! Nie mogło być inaczej.

Staruszka załamała ręce.

— Więc twierdzisz, doktorze, iż ostatnie wypadki wpłynęły na niepomyślny przebieg choroby?

— O tyle, o ile szalony nadmiar zabaw oddziaływa szkodliwie na organizm, a szczególnie w takich, jak tu, wypadkach.

W ciągu ostatnich tygodni powinna już była oszczędzać się więcej, a po przebyciu katastrofy zachować się jak najspokojniej.

— Kiedy nie chciała słuchać... — usprawiedliwiała się starsza pani Rumszańska.

Tyle razy prosiłam, przedstawiałam...

Choćby i ten bal czwartkowy. Zaklinałam Stefana, aby jej jechać nie pozwolił. Miałam jakieś przecucie... Ale cóż! Jak się uparła, zawsze postawiła na swoim. Stefan taki był słaby dla niej...

Doktor westchnął.

— Wiem ja coś o tem, droga pani — rzekł.

To też w całym tem nieszczęściu jeden jest tylko winowajca: ta umierająca biedaczka właśnie.

Ostry krzyk chorej, przerwał ich rozmowę — doktor podbiegł do łóżka.

Usta już miała sine i szeroko otwarte osłupiała żrenice.

Rzucała się, wyprężała... szarpała palcami koldrę.

Uspokoila się.

Matka uklękła przy łóżku i zaczęła się modlić. Stefan wlepił oczy w umierającą z takim wyrazem, że doktor cofnął się przestraszony. Wśród ciszy i tego naprężonego oczekiwania chora poruszyła ustami. Chciała coś mówić, chrapliwy odgłos dobył się z piersi.

— Może chce zobaczyć dziecko, — szepnęła Stefanowi matka.

— Czy przynieść dziecko?

Nim zdążył odpowiedzieć, chora zaśmiała się krótkim urywanym śmiechem.

— Nie będę tańczyć z panem, — szepnęła ledwo dosłyszalnie.

— Stefan się gniewa na pana, a ja pana bardzo lubię... Nie... nie!

Przymknęła wielkie oczy, jakby senna, i nim otaczający opamiętać się zdołali, piękna Lila Rumszańska żyć przestała.

(Dalszy ciąg nastąpi).

RUCH MUZYCZNY.

Les beaux restes. — Wady i zalety śpiewaków. — Pani Konarska jako Santuzza. — Zoë-Ness'leda-Mingardi. — Pani Menter i jej satellita Sapielnikow — Koncert kameralny. — Nieco o impresaryach. — „Goplana.“ — Stojowski.

Miałem kuzyna, który w epoce swego kwitnienia będąc ozdobą salonów, znany był pospolicie jako „le bel Oreste“. Lecz, że za długo chciał nosić swój zaszczytny tytuł, przeto przyszła kreska na Matyska, i kawaler czerniacy brodę i wąsiki nazywanym był później: „les beaux restes.“ Toż samo dzieje się ze śpiewaczkami i śpiewakami, którzy, nie mogąc się rozstać ze sceną i publicznością, śpiewają „aż do skutku“, i zamiast zachwyty, nieraz tylko budzą — politowanie.

Pisząc te wyrazy myślmy o Cotogn'im, który wprawdzie nie doszedł do tego stadyum, w jakim słyszeliśmy Tamberlick'a, ale który powinien już zabastować, i nie obwozić swego stereotypowego starego uśmiechu i „les beaux restes“ głosu po estradach europejskich.. Wielki ten mistrz kunsztu śpiewaczego posiada jeszcze resztki imponujące; mianowicie w górnych nutach swej barytonowej skali imponuje nieraz siłą i dźwiękiem prawie że metalicznym. Ale obok znakomicie wykonanych szczegółów posługuje się on nieraz manierą, przesadza w pianach, parlandach, słowem nie atakuje trudności z frontu, ale je obchodzi bokiem... Słyszeliśmy go dwukrotnie: raz na benefisowym wieczorze Noskowskiego w Towarzystwie Muzycznym, drugi raz na koncercie na dochód „Przytuliska“. Pożegnaliśmy w nim króla barytonów, który długo nie będzie miał sobie równego.

To, co robią starzy, schodzący z pola artyści, spotykamy nieraz i u młodych, to jest, że chcą udawać czem nie są... a zgubne to przyzwyczajenie kończy się nieraz przedwczesną ruiną głosu. Grzeszników takich w ubiegłym wielkim poście wyliczyć możemy kilkoro. Oto macie Mirę Hellerównę, talent piękny, z głosem świeżym i dźwięcznym, — nie jej wystarczają tryumfy mezzo sopranowej skali, i uwiedziona, nie przez Fausta, ale przez Małgorzatę, w tej ostatniej roli pragnie niezastąpionych oklasków; macie Emmę Leonardy śpiewaczkę obdarzoną wspaniałym głosem i temperamentem, która nie poprzestając na tryumfach, jakie osiągała zajmując w odtworzonych rolach Carmen i Anneris pragnie w Azucenie i Fides podnieść wrażenie sztucznym szlochaniem i przesadą. Tejżesamej metody trzymał się u nas nieraz młody tenorzysta pan Colli, chcący tą czkawką i pozowaniem udać wielkie uczucie i wielki głos... O śpiewacy! pamiętajcie na słowa Pisma, że choćbyście nie wiem co uczynili, ani o włos jeden nie będziecie wyższymi, niż jesteście... Prostotą i zużytkowaniem swych naturalnych środków zrobić można więcej nierównie, niż owemi nadzwyczajnymi wysiłkami. Mamy tego dowód oczywisty na pani Konarskiej. Śpiewaczka to o niezbyt potężnym głosie, a jednak partye dramatyczne wykonywa z powodzeniem, tak, iż opinia przyznaje, że takiej „Halki“ oddawna na scenie naszej nie widziano. Teraz świeżo wypracowała partję „Santuzzy“ z „Cavallerii“ i równie dobrze ją śpiewała, jak poprzednie. Wysoce godną jest uznania ta okoliczność, iż pani K. ani na chwilę nie zapomina, że jest śpiewaczką, i efektu czystej i pięknie wziętej nuty nie psuje. Następnie obmyśla rolę w szczegółach wybornie i tworzy postać konsekwentnie działającą, i przez to sprawiającą złudzenie rzeczywistego życia. Jeden szczegół tylko, ale wymo-

wny, z roli Santuzzy przytoczymy. Gdy po duecie z kochankiem, tenże kończy go słowami: „*Nie dbam o twój gniew*“, a Santuzza rzuca za nim przekleństwo, i pada w wyzerpaniu na schodach kościoła, wszystkie artystki w czasie długiej orkiestrowej przegrywki poprzestają na omdleniu, a potem na szlochaniu, z którego budzi je niespodzianie głos Alfia. To nie usprawiedliwia dostatecznie procesu psychologicznego, który doprowadza opuszczoną dziewczynę do zadennuncyowania przed Alfim miłostek Tarrida z żoną Alfia, Lolą. Pani Konarska leży krótką chwilę; potem podnosi się z wolna — widać w rysach twarzy wyraz bezdennej rozpacz — ale wkrótce zmienia się on na wyraz gniewu, na pragnienie zemsty. Uderza się w czoło — i myśli: co by tu zrobić? Nagle stychać w dali kroki Alfia, którego wyjście orkiestra ilustruje „leitmotiwem“ jego pieśni. Postanowienie nagle dojrzała, i cały już idący potem duet jest najzupełniej usprawiedliwiony. Żadna również ze śpiewaczek tak wyraziście nie stwarzała trzech typów ekspresji w pierwszym opowiadaniu: „kochałam go“ „Ah! l'amai!“ To zakończenie pierwszej części śpiewa pani Konarska z nieopisanym akcentem szczególności. W drugiej części wzmiance o intrygach Loli towarzyszy sarkazm i gniew, w trzeciej dopiero przychodzi lzy i liryzm.

„Halka“, której czterechsetne przedstawienie się zbliża, będzie miała z kim obchodzić swój jubileusz.

Pisząc o jednej Santuzzy, nie podobna nam zapomnieć o innych, które, innemi w szczegółach środkami działając, pozostawiły po sobie dobre wrażenie. Wybornie i z prawdziwym temperamentem odśpiewała Santuzzę panna Leonardy; Hellerówna zalicza tę partję stanowczo do najlepszych swych kreacji, a i pani Zofia Mingardi, która w bieżącym tygodniu w roli Santuzzy dała się słyszeć, złożyła dowód uzdolnienia i pięknego nieraz pojęcia. Jest to młoda śpiewaczka o głosie w górnej oktawie dźwięcznym i miłym (niższa oktawa mniej efektu robiąca, nieraz u sopranów dramatycznych później się rozwija). Oprócz głosu, który w wielu ustępach, zwłaszcza wymagających siły, brzmiał silnie i oddawał nutę szczerzego uczucia, pani Mingardi ma dobry instynkt sceniczny i również obmyśla rolę z inteligencją. Temperament jej szczerzy trafia słuchaczom do przekonania, lubo są chwile, w których zmodyfikowanie go byłoby rzeczą pożądaną. Oprócz roli w „Cavallerii“, wykonała artystka tegoż wieczora partję Neddy w „Pajacach“. Rola to małej silna, ale za to więcej urozmaicona, dająca pole do gry ożywionej i subtelnej, której złożyła dowód pani M. w scenie oświadczenia Tonii, oraz w „Komedii“.

Występ pani Mingardi w „Fauście“ zaprezentował nam zalety i niedostatki śpiewaczki w jaśniejszym świetle. Najwybitniejszą zaletą artystki był, nie śpiew, ale gra tak subtelna i wycieniowana, jakiej (np. w scenie kościelnej) u żadnej z jej poprzedniczek nie widzieliśmy. Co do śpiewu, ten w duecie i w wyższych dramatycznych ustępach brzmiał dobrze; nuty niższe, np. w balladzie, były dość nikłe, blade, w arii zaś z klejnotami raził brak trylu i gammy. Intelligentna i zdolna artystka powinna więc dużo jeszcze pracować, a przy jej młodości można dobrze o przyszłości wróżyć.

Pani Menter nie zapomina o nas, i dwukrotnie dała się słyszeć na koncercie w Teatrze Wielkim. Zdumieni jej techniką, potęgą i elastycznością uderzenia, napróżno szukamy w duszy naszej wrażeń, któreby nam pozwalały ocenić jej talent inaczej, niż zwykle. To, co pani Menter robi siłą i sprężystością mięśni ręki i ramienia, jest pod względem gimnastycznej wprawy niezrównane. Jej staccato i wyrzucanie kolejnych rąk obu daje nam efekta mechanizmu, o jakie, kto wie, czy się pokusić dziś może który ze współczesnych fortepianistów. Ale iskra poezji zdaje się drzemać zupełnie, lub też przysypała jest tak grubą warstwą popiołu, że jej pod nią odszukać trudno. Pamiętamy dobrze panią Menter, gdy poraz pierwszy zjawiła się w Warszawie. Była wielką, jak dziś, mistrzynią techniki, ale przecież w subtelnościach gry jej brzmiał nieraz powiewny jakiś ideał, jakiś wdzięk mglisty, niby północny. Obecnie doświadczenie kilkunastu przebytych lat życia wyrodziło jakąś

obojętność, większą, niż kiedykolwiek. Jest to gra pesymistyczna, po za którą upatrujesz lub się domyślasz, próżności zwątpienia. Nie nie unosi tej nieubłaganej Kassandry w sfery nadziei i życia. Artystka zdaje się mówić, że nie warto się zapalać do tych ideałów młodzieńczych, które życie rozwiewa i burzy...

Wspólnie z panią Menter występował fortepianista p. Sapielnikow, jako wyborny akompaniator w koncercie Liszta, oraz jako dyrygent orkiestrowy pełen przytomności i uzdolnienia. Dał się on nam również poznać jako dzielny solista na pierwszym wieczorze kameralnym, który się odbył dnia 30 marca w sali Resursy Kupieckiej. Grał wówczas wielkie Trio Czajkowskiego wybornie, jak nikt z jego poprzedników dotąd tego dzieła nie wykonał. Było to prawdziwe studium, tak pod względem technicznym jak i duchowym doskonale przeprowadzone. Zachęcony oklaskiem publiczności, oraz obecnością pani Menter, zagrał nad program poloneza Asdur Chopin'a, za prędko cokolwiek, ale jędrnie, a część środkową, ze słynnymi oktavami, nad wyraz znakomicie. Dwa kwartety, Haydna (z waryacyami z hymnu austriackiego) oraz beethovenowski, stanowiły wspaniałą tego Tria oprawę. Wieczory kameralne nie mogły przysięść do skutku w czasie Wielkiego Postu, gdyż główny ich kierownik, Stanisław Barcewicz, wyjeżdżał na koncertową podróż.

Z Kijowa doszło nas niedawno echo o sympatycznej wiolonistce, Ameryce Montenegro; echo to będzie niejako epilogiem jej warszawskich koncertów; dawała ich tu dwa z najsmutniejszym rezultatem materyalnym, a działa się to pod egidą pewnego impresaria, który raził nas wszystkich w Warszawie swoją niepraktycznością, a zarazem dziwną arrogancją. Otóż nie lepsze rezultaty jego impreza wydała i w innych miastach, gdzie koncerty były również puste, a artystka z nich nigdy ani grosza z przyobiecane honorarium nie otrzymała. Nareszcie w Kijowie impresario zakończył godnie swoje przedsiębiorstwo haniebną ucieczką, a biedna artystka tylko dzięki koncertowi urządzonemu przez życzliwych mogła powrócić do Mediolanu. Podobnie zawiedzione zostały w stosunkach z innym impresariem panie: d'Alembert i Wąsowska. Widocznie, że nowy ten rodzaj sportu zaczyna przedstawiać poważne niebezpieczeństwa...

Z nowin ważnych ze świata artystycznego donosimy, że Żeleński ukończył już całkowicie swoje „Goplana“.

Uczeń Żeleńskiego, Diemera, a podobno ostatnio St. Paderewskiego, Zygmunt Stojowski, zbiera lanry w Anglii. Zapiszmy sobie jego nazwisko, aby, gdy zawita do Warszawy, był nam już dobrym znajomym.

Jan Kleczyński.

Obawa komet dawniej i dziś

podług

WILHELMA MEYERA.

Komety nazwać-by można zdetronizowanymi władcami, wielkościami upadłymi, gdyby rozpałtrzyły historyczną rolę, jaką spełniały lub spełniają w życiu ludzkości. Gdy dziś pojawi się na firmamencie taki ogoniasty przybysz, stanowi on niezawodnie przedmiot żywej ciekawości publicznej, daje pole do pilnych obserwacji astronomom, ale mało się znajdzie takich, którzy przypisywali-by mu wpływ na pomyślność kuli ziemskiej i jej mieszkańców. Dawniej wpływ ten był bez wątpienia bardzo znaczny i skoro wówczas t. j. w piętnastym czy szesnastym stuleciu, pojawiła się kometa, drżała cała ludzkość, aż do najuczestniejszych ludzi, przed okrutną karą Bożą, którą kometa z pewnością oznajmiać miała.

Czem się to dzieje, że paniczne oddziaływanie tych osobliwości niebieskich tak zupełnie przeminęło?

Odpowiedź następująca, jakkolwiek nieprawdopodobnie brzmieć-by miała, jest przecież prawdziwa: komety przynosiły dawniej istotne nieszczęście ludziom, dziś przecież przestały działać. Dla objaśnienia niechaj będzie wolno wyrazić kilka uwag ogólnych o wierze i przesadach.

Zupełna to prawda, że wiara „przenosi góry.“ Mocne przeświadczenie jednej osoby, że jakieś projektowane przedsięwzięcie udać się musi, przeniesie się łatwo i z błyskawiczną często szybkością na inne osoby, ożywiając i zapalając do pracy; potrzebne siły wkrótce się znajdują i góra przeniesiona zostaje. Ale przesąd, strona ujemna istotnej wiary, jest, niestety, równie silnym, a natychmiastowe jego oddziaływanie często nawet silniejszym, niż wiara prawdziwa. Przesąd tak długo oddziaływa, jak prawdziwa wiara, póki jego myślność ogólnie poznana nie zostanie, co przychodzi często dopiero po długich walkach. Wiara, że komety przynoszą nieszczęście, sprowadzała istotne katastrofy, wywołując ogólne poruszenie umysłów. Obawy, jakich według naszego mniemania pojawienie się komety wywoływało setki, dziś już nie zachodzą, a zawdzięczamy to jedynie sile nauki, która dowiedzieć mogła, że komety w tych nieszczęściach nie są zgoła winne, i tylko ludzie sprowadzili je, w swem zaślepieniu, na siebie. Ciekawem jest przecież—przesąd co do komet oraz jego stopniowe znikanie rozpatrzyć z psychologicznego stanowiska, i w tym celu przytoczymy odnoszący się tu ustęp z dzieła bazylijskiego profesora matematyki, Piotra Megerlina, zatytułowany: „Przypuszczenia astrologiczne o znaczeniu nowo-pojawiającej się komety.“ Utwór ten, składający jak najlepsze świadectwo uczoności i sile myślenia autora, stoi przecież na gruncie przesądów astrologicznych, które stanowiły prawdziwą wiarę, o ile nie znano żadnej innej. Przykład to, że i my przyjmujemy prawdopodobnie za prawdę niejedno, nad czem nasi następcy z politowaniem uśmiechać się będą. W dziele Megerlina spotykamy między innymi następujący wywód:

„Pozwalam sobie tedy wypowiedzieć myśli moje i osobliwe *speculationes* o znaczeniu tej dziś jeszcze świecącej na horyzoncie komety. Jak mi się zdaje przecież znaczenie tłumaczonem być musi przez *Harmonia Naturae*, to znaczy przez zgodę istot niebieskich z ziemskimi, jak to od wielu wieków obserwowano, gdy coś nowego, jako to komety i inne podobne *phenomena* ukazywały się na niebie, równie i naturę *sublunaris* (to jest naturę pod księżycem) zakłócały niezwykle wypadki w zwyczajnem jej biegu. Takich wypadków jednak nie tyle na niebie, ile na ziemi szukać trzeba, gdyż tak jak przy uciecie silny napój wywołuje u jednego podagrę, u innego ból głowy, oczów, czy zębów nie dla tego, aby samo wino tak szkodliwie działało, gdyż ono zdrowym nic złego nie przynosi, ale raczej ożywia ich i odświeża. Tylko słaba natura znieść nie może takiej silnej pobudki: to też i elementarna natura przez powstanie komety tak silnie poruszona zostaje, że wydarzają jej się takie niezwykle przypadki, do których w tem czy innym miejscu było już poprzednio usposobienie. To też jeżeli o komecie sądzić mamy, czy przyniesie nadmierne gorąco czy zimno, suszę czy wilgoć, wiatr, czy trzęsienie ziemi, zarazę morową czy inną, a także czy wywoła wojnę zewnętrzną lub wewnętrzną, powstanie, zmianę rządu, czy religii, jak również w jakim kraju,—trzeba oprócz dobrego wróżbity, głęboko myślącego znawcy natury fizyka a także daleko widzącego polityka, to jest człowieka dobrze świat znającego, któryby dzisiejszy stan świata mógł rozpoznać.“

Jakkolwiek dziwnem wydać się może takie rozumowanie, daje ono nam, przecież kluczy, w jaki sposób nawet ludzie myślący logicznie wierzyć mogli we wpływ komet na losy ziemskie, i nie pozwala uśmiechać się i z poczuciem wyższości myśleć o naszych przodkach, jak to chętnie bardzo czynimy. Przykład praktyczny takiej przepowiedni, wyjęty z tego samego pisarza, winien nam objaśnić bieg myśli ówczesnych astrologów.

„Gdy w r. 1652 w pewnej rzeczypospolitej wieśniacy podnieśli wielki rokosz przeciwko władcy z powodu małych przykrości, jakich od niego doświadczali, wtedy ukazała się kometa... ja przepowiedziałem z tego wojnę chłopską, która,

jak to wielu i to szanownym osobom jest wiadomem, wybuchła w następnym roku: ale to powstanie nie byłoby może zaszło tak daleko, może nie chwyciliby za broń, ale załagodzili sprawę, gdyby kometa nie była się ukazała. Tu zaznaczyć trzeba, że ta kometa w Zurichu z powodu pochmurnego nieba ani razu widziana być nie mogła... z tego też powodu i chłopstwo tam w 1653 r. spokojnie siedziało.“

Dla wykazania, jak podobne wnioski, wydobycie z tyłu starych papierów, i dziś jeszcze, powtarzać się może i jak wiara w nadprzyrodzone oddziaływanie gwiazd na losy ludzkości teraz nawet takie powstania wywołuje, przytaczam tu bezpośredni ustęp z „Bydgoskiej gazety“, który powtórzony został przez różne dzienniki w 1886 r. właśnie wtedy, gdy świeciły na niebie dwie komety:

„Wśród naszej, dość przesądnej, ludności polskiej poruszyła niezmiernie umysły oddawna już przez pewną klikę rozpowszechniona wiadomość o mającym nastąpić w tym roku końcu świata. Wrażenie było tak silne, że obawiać się można nawet rozruchów. Dla tego też urząd policyjny w Pałacu zażądał powiększenia ilości policyantów.“

Przykłady odnoszące się do obawy przed kometami nie ograniczają się przecież do polskich wieśniaków. Przytoczyć-by tu można przykład z przed stu lat, wzięty z centrum cywilizacji, mianowicie z Paryża, gdzie kometa, i to nie prawdziwa, ale urojona, bardzo wielkie sprowadziła zamieszanie.

Prawdopodobnie zjednoczony krytycyzm wielu głów oświeconych doprowadził do przekonania, że komety, o ile dla wszystkich na niebie są widoczne niebezpiecznymi stać się nie mogą. Rozpowszechniło się bowiem przekonanie, że komety widocznymi były w rozmaitych krajach, na różnych punktach nieba, z czego wynikało, że muszą być bardzo od nas odległe i nie należą w żadnym razie do ziemskiej naszej atmosfery, jak w to aż do owego czasu wierzone, hołdując mniemaniu Arystotelesa. Gdy wkrótce potem Hevelius, Dörfel, Bernoulli, Newton wykazali, że komety opisują drogi koło słońca, tak samo jak znane oddawna planety, i że drogi te różnią się od ostatnich tylko kształtem,—znikł urok cudowności komet, przynajmniej o tyle, że rozpoznano w nich ciała, poddające się prawom niebieskim narówni ze wszystkimi innymi systematu słonecznego.

Pozostawał przecież jeden punkt niewyjaśniony. Podczas gdy planety z konieczności zdaleka się zawsze od nas trzymać muszą, gdyż drogi ich koncentryczne odległe od siebie tworzą kręgi, rachunek odnoszący się do komet wykazał niezawodnie, że drogi ich zbliżyć się mogą do drogi, jaką kochana nasza ziemia opisuje dokoła słońca. Jeżeli przeto kiedykolwiek spotkać się mogła kometa z ziemią, nastąpić musiałoby uderzenie, którego następstwa nie dawały się przewidzieć wobec nieznaności natury komety. Ze przecież nie szcześliwe komety miały wogóle złą opinię, oczekiwać można było najgorszych następstw, a więc końca świata. Gdy słynny astronom Lalande chciał mieć na wiosnę 1773 r. wykład o kometach, które zbliżyć się mogą do ziemi, rozpowszechniła się w Paryżu wiadomość o końcu świata. Jakiś plotkarz, męskiego czy żeńskiego rodzaju, gdyż takich nowiniarzy o zajęciach sercach wśród żadnej płci nie braknie, rozpowszechnił wiadomość, że Lalande przepowiedzieć chciał koniec świata na 12-go maja o skutku spotkania się ziemi z kometą, ale odczytu nie dopuściła policja. Ta wiadomość wystarczyła, aby rozszerzyć taki strach paniczny, że cały Paryż oczekiwał z biciem serca dnia oznaczonego, a strach wywołał choroby, nagłe zgony i t. p.

Ta nowa postać wiary w komety i dziś jeszcze niezupełnie minęła. Ludzkość nie może obronić się wierze, że te niezwykle znaki na niebie wróżą również niezwykle wypadki; że zaś zauważono cudowne i odmienne od zwykłego porządku natury, niewyjaśnione zjawiska, publiczność dotąd nie ufa, by astronomowie znali naturę komet, a więc mogli powiedzieć, czego się od nich obawiać możemy. Za długiem byłoby tu wyliczanie wszystkich nieuzasadnionych obaw i zwalczanie ich. Dość będzie przeto powiedzieć, co o kometach wiemy. Wiemy z pewnością, że ogon komety

jest wiele milionów razy lżejszy i przezroczystszy od naszego powietrza, a wogóle ciężar ogona długiego na miliony mil nie przechodzi zapewne paru centnarów. Skłonni jesteśmy nawet przyjąć, że cały ten ogon niczem innym nie jest, jeno zjawiskiem elektrycznym, podobnym do tego, jakie występuje w rurach Geislera, tem silniej im bardziej pustemi są rury. Jaskrawo-świecące jądro komety zawiera przecież w każdym razie stal-
sze ciała, meteoryty i drobne ciała, których odłamki spadają niekiedy na ziemię, nie przynosząc szkody. To kamienne jądro komet, otoczone jest zawsze rozciągniętą powłoką gazową z węglowodorów, natrium i pary wodnej, a całość ma w średnicy rzadko kiedy więcej nad piątą część średnicy ziemi. Nad tem jądrem układają się przecież inne jeszcze powłoki gazowe „czepki“ komety tak przezroczyste, że wobec nich atmosfera nasza wygląda jak gęsta jesienna mgła.

Nauka nie może wprowadzić zaprzeczyc, że taka głowa komety mogłaby raz kiedyś wystąpić przeciwko ziemi. Przebiegałszy przez część takiej głowy dwukrotnie 27 listopada 1885 r., oraz trzynastacie lat pierwej. Deszcz gwiazd spadających był za każdym razem następstwem tego rzadkiego wypadku. Zresztą nie innego nie zaszło. To jest przykład z życia. Jeżeli przecież puścimy wodzę fantazji, można sobie wyobrazić, że przyjdzie kiedyś dość wielka kometa, która w jądrze swoim pomieści drobne planety, a bombardowanie takimi kamieniami nie wyjdzie chyba ziemi na korzyść. Różne otwory w jej cieple wypuściłyby ogniste fale jej krwi, morza wystąpiłyby ze swych koryt, rozpoczynając straszną walkę z rozpalonemi bałwanami. „Wszystko to—tak mówi przynajmniej jakiś hrabia von Pfeil w książce z 1879 r., zatytułowanej „Prądy kometarne“, która kilka miała wydań—zdarzało się już kilkakrotnie, a potop tak jak wszystkie przewroty geologiczne były następstwami tych zdarzeń.“ Tymczasem przecież nie widziano jeszcze takich wielkich komet. Z mniejszych, których znane nam są tysiące, a których miliony w niewielkiej od systemu słonecznego odległości istnieją, z tych mało niebezpiecznych włóczęgów świata jeden tylko wyraźnie zaczął o atmosferę ziemską. Może się to jeszcze zdarzyć, ale i wtedy nie nie zaszkodzi. Dla tego też czytelnik obawiać się nie potrzebuje przepowiedni Fałba, prorokującego spotkanie na 13-ty listopada 1899 r.

Oddawna wiadomem jest astronomom, a przeszło już nawet do wszystkich dzieł popularnych, że przyczyną spadania gwiazd występującego corocznie w dniach 12-ym i 13-ym listopada jest rozpadająca się kometa, która po raz ostatni ukazała się w 1866 r. i posiada czas obiegu 33-ich lat, przez co w ciągu owej przerwy występują t. zw. gwiazdy spadające—„Leonidy“ o świetnym blasku. Fałb do 1866 r. dodał owe lat 33, przepowiadając to, co mówili wszyscy piszący przed nim astronomowie, a mianowicie, że kometa w 1899 r. powróci musi. Jakie będą bliższe tego okoliczności, rachunkiem nie wykazał, ani on, ani żaden z jego poprzedników. Droga tego niepozornego ciała niebieskiego przecina ziemską; następstwem spotkania będzie znów wspaniały deszcz gwiazdowy, który zachwyci nas wszystkich przed końcem wieku, jeżeli go dożyjemy.

Z bieżącej chwili.

Według dzienników petersburskich reorganizacja departamentu handlu, sankcyonowana przez Radę państwa, została już dokonana. Departament dzieli się na oddziałów osiem, a to: rekrutów, towarzystw i stowarzyszeń handlowo-przemysłowych, handlu wewnętrznego, handlu zewnętrznego, traktatów handlowych i taryf celnych, opłat handlowych i rzecznych, oraz handlu azjatyckiego, statystyki i rachunkowości.

— *Wiadomości Petersburskie* donoszą, iż po zniesieniu taryfy pasażerskiej wszelkie bilety ulgowe będą, o ile można, skasowane. Uczniowie szkół mogą przecież korzystać z biletów ulgowych nie tylko w czasie feryi świątecznych, ale w ciągu całego roku, jeżeli otrzymają na to sankcyę od bezpośredniej władzy swojej.

— W Mitawie urządzona przez Tow. Dobroczynności wystawa obrazów mieści okazów blisko 400, a wśród nich najwięcej olejnych; znajdują się tu i utwory mistrzów wyższego znaczenia. Ruisdaela, Leonarda da Vinci w kopii Luininiego, Rubensa, portret Rembrandta, malowany przez niego samego, Bacciarellego, Teniersa i wielu innych, należących do sztuki wyższej.

— Wystawa obrazów Matejki w Salonie Artystycznym już niedługo trwać będzie, a następnie wywieziona zostanie do Wiednia na wystawę sztuk plastycznych. Wszystkie niemal studia i rysunki ołówkowe zostały kupione, przeciw obrazom większych rozmiarów nie znalazły nabywców i lękać się można, że znajdują się oni w Wiedniu i drogocenne skarby sztuki naszej przejdą w ręce obcych;

— W Salonie Artystycznym znajduje się obraz Ś-ej Weroniki, staro-hiszpańskiej szkoły, wystawiony na sprzedaż w celu otrzymania funduszu na restauracyę kościoła we wsi Pieczyńska, w powiecie grójeckim. Świątynia ta, wzniesiona w wieku XIV, chyli się do upadku, a brak środków nie pozwala na restauracyę tego starożytnego zabytku naszego budownictwa.

— Budowa kościoła Ś-go Floryana na Pradze została przerwana dla braku środków. Tosamo powtarza się z budową kościoła na Powązkach.

— Wstępny zapis dzieci, które wysłane być mają na kolonie letnie, już ukończony. Zamieszczono ich na liście kwalifikujących się do wyjazdu 3.000, sprawdzanie stanu zdrowia i potrzebnych tu dowodów trwać będzie do d. 11 kwietnia. Miejscowości, w których kolonie będą urządzone, jest czternaście, a to: w Grotach pod Warszawą, w Bartnikach pod Radziwiłowem, w Lesznie pod Błoniem, w Żyżynie pod Nową Aleksandryą, w Suchej pod Białobrzegami, w Lubojni pod Częstochową, w Kociołkach pod Piotrkowem, w Siedzowie pod Pilawą, w Psarach pod Łęczycą, w Sanikach pod Łowiczem, i w Ciechocinku. Tu kolonia urządzona będzie po raz trzeci kosztem H. Wawelberga.

— Kassa Oszczędności, mieszcząca się przy magistracie miasta Warszawy przeszło pół wieku, obchodziła niedawno jubileusz pięćdziesięcioletniego istnienia. Liczy ona 43.000 uczestników, posiadających kapitału 1.485.715 rs. Kassa ta mu być obecnie przelana do kassy Banku Państwa; termin przeniesienia ustanowiono półroczny i uczestnicy, nie chcący mieć funduszy swoich w Banku, mogą je wycofać.

— Przytułek noclegowy, otwarty przed kilku dniami po raz trzeci obok stacyi izolacyjnej na Lesznie, a utrzymywany z funduszy komitetu obywatelskiego, pomieszcza, pomimo cieplejszej już pory, przecięciowo po 100 biednych, potrzebujących schronienia noclegowego.

— Dzienniki donoszą, jak dobrze dzieje się wychodźcom naszym w Ameryce. Jan Wiśniewski, ogrodnik z Warszawy, dozorca plantacyi w cyrkule Nalewek, założył w Nowym Yorku ogród, przynoszący mu zyski znaczne. Dr. Lande Rajmund, lekarz z Warszawy także, pozyskał sobie w Chicago po kilku miesiącach pobytu bardzo rozległą praktykę. M. Dutkiewicz fotograf, także z Warszawy, otrzymał monopol fotografowania w szczegółach, oraz ogółem, wystawy w Kalifornii i przyzwał sobie do pomocy kilku ziomków, pracujących w tym zawo-

dzie. Malarz pokojowy I. Zabotyński, jest na drodze dorobienia się wielkiego majątku. Czy przeciw dzieje się tak ogólnie wszystkim? Czy pisze się o tych, którzy giną z nędzy w zaułkach miast amerykańskich?

— Miłośnik sztuki p. A. C. odezwał się za pośrednictwem „Kuryera Warszawskiego“ o potrzebie wzniesienia w mieście naszym gmachu, któryby wytworzył wspólne pomieszczenie artystycznych instytucyi Warszawy, a to: Tow. Zachęty sztuk pięknych, Tow. Muzycznego, Lutni. Fundusze pojedynczo na ten cel składane, mogłyby w połączeniu wytworzyć kapitał odpowiedni, zwłaszcza że zasoby Tow. Zachęty sztuk pięknych są znaczne. Jako miejsce, na budowę tę odpowiednie, wskazuje projektodawca „Dziekankę“ na Krakowskim Przedmieściu, lub place w pobliżu położone.

— W Krakowie, w gmachu Sukiennic, odbyło się doroczne zgromadzenie członków Tow. Sztuk pięknych, oraz rozlosowanie dzieł, nabytych przez dyrekcję Towarzystwa. Nowy prezes dyrekcji, malarz Rodakowski, przewodniczył zebraniu; odczytane sprawozdanie wykazało, że Towarzystwo liczy 5,564 członków, dochodu miało w czasie sprawozdawczym 40.734 zł. reń., rozchodu 37.274 zł. reń. Dzieł sztuki do rozlosowania między członków zakupiono za 7.438 zł. reń. a mianowicie: 52 obrazów olejnych, 7 akwarel, 28 rzeźb i 19 różnych produkcji artystycznych.

— W sali astronomicznego obserwatorium uniwersytetu krakowskiego wygłosił Dr Wierzbicki zajmujący odczyt: „Rudolf Falb i jego poprzednicy w świetle nauki.“ Wiedeński astronom amator, który z krawca przetworzył się w uczonego, przybierając bezprawnie tytuł profesora, ukazał się na podstawie dowodów zgrupowanych przez prelegenta zręcznym szalbierzem, który umiał zjednać sobie część prasy wiedeńskiej przez podział zysków, czerpanych z mętnego źródła jego sensacyjnych wywodów o końcu świata w 1899 r. Dr Wierzbicki usiłował wykazać to wszystko na podstawie nauki ścisłej, dodając, że Falb jest szkodliwym, nie tylko przez mącenie pojęć naukowych, ale z powodu, że obniża wobec społeczeństwa godność ludzi, poświęcających się nauce.

— Prof. Cybulski, wygłaszając w Krakowie, w auli uniwersyteckiej, odczyty „O spirytyzmie i hypnotyzmie“ dobrze się zastrzył ogółowi, wykazując, że teorie nowych prądów mistycznych nie mają żadnego związku z nauką prawdziwą. Pewne fakta za pomocą hypnotyzmu wywoływane, zostały tu zręcznie zużytkowane na korzyść mistycyzmu, dając rzeczy pozory nauki.

— W paryżkiem obserwatorium astronomicznem dostrzeżono, że ugwiażdżenie n eba w Wielki Piątek o godzinie 4-tej z rana, przedstawiało się najzupełniej tak, jak w nocy poprzedzającej dzień śmierci Chrystusa.

— Uczony przyrodnik francuzki Cornu zamierza urządzić w Paryżu, w ogrodzie „Jardin des Plantes“, wystawę roślin podzwrotnikowych, zdolnych na pożywienie człowieka, lub w przemyśle. Celem są tu szczególnie próby zaaklimatyzowania spośród nich najpożyteczniejszych. Ziarna drzewa kawowego, zasiane w 1720 r. na wyspach antylskich, stały się wysp tych bogactwem.

KOMITET DAMSKI

warszawskiego oddziału

Towarzystwa opieki nad zwierzętami.

Ma zaszczyt zawiadomić, że zapowiedziane w pismach codziennych i tygodniowych *Odczyty popularne*, urządzone staraniem Komitetu, rozpoczęły się z dniem 1 Kwietnia r. b., w wielkiej sali Muzeum przemysłu i rolnictwa i odbywać się będą w dni niedzielne o godz 5-ej po południu.

Dochód osiągnięty z tych odczytów obrócony zostanie na zakupno lub wydawnictwo książeczek popularnych specjalnych, jako też i treści ogólnie umoralniających—i rozdawanie ich bezpłatnie między ludem miejskim i wiejskim.

Cel odczytów i udział w nich znanych i cenionych popularyzatorów wiedzy pozwalają Komitetowi mieć nadzieję, że Redakcyja nie odmówi mu swego cennego poparcia.

Przewodnicząca w Komitecie, Julia Sikorska.

Sekretarka, Marya Iżycka.

ODCZYTY POPULARNE.

P. Julian Ochrowicz „O koniu ze stanowiska psychologii“.

P. Odo Bujwid „Drobne żyjątka zdrowiu szkodliwe i sposoby ich unikania“.

P. Edmund Jankowski „Czem dla ludzi jest ogród“.

P. Maksymilian Flaum „O wódce, piwie i winie“.

P. Seweryn Sterling „Zasady higieny zawodowej“.

P. Marcin Osmała „Czechy i ich wpływ na rozwój rzemiosł“ i Wykształcenie terminatorów rzeźmieślniczych w Warszawie“.

P. Aleksander Palmirski „Życie i jego przejawy jako przedmiot nauki“.

P. Władysław Umiński „O zwierzętach ginących“.

Niektóre odczyty urozmaicone będą doświadczeniami, obrazami niknącymi, tablicami i okazami.

Bliższe szczegóły o każdym odczycie pomieszczone będą na oddzielnych afiszach.

Cena miejsc: krzesło w 1-szych rzędach 45 kopiejek, w środkowych 30 kop., w dalszych 20 kop., wejście do sali 10 kop.

Biletów dostać można: w Kancelarii Towarzystwa Op. n. zw Zielna 19, w mieszkaniu Przewodniczącej J. Sikorskiej, Warecka 14, w Szkole Rzemiosł W-niej Korycińskiej Krakowskie-Przedmieście 17, oraz w dzień odczytu, na godzinę przed rozpoczęciem, przy wejściu do sali Muzeum, Krakowskie-Przedmieście Nr. 66.

Sprostowanie.

W numerze 12-ym „Bluszezu“ w artykule p. t. *Pogawędka* str. 90, wiersz 7 od góry zamiast *żądał* powinno być *upominał się*.

Do dzisiejszego numeru „Bluszezu“ dołącza się: *Zuch dziewczyna*, przez autorkę powieści „Lady Verner“, przekład z angielskiego.

TREŚĆ: Pogawędka, przez ??—Emancypantka Prusa, przez S. Karpowicza.—Bez woli, powieść przez Wandę Grot Bęczkowską.—Ruch muzyczny, przez Jana Kleczyńskiego.—Obawa komet dawniej i dziś, podług Wilhelma Meyera.—Z bieżącej chwili.—Komitet damski warszawskiego oddziału towarzystwa opieki nad zwierzętami.

Dodatek obejmuje: Arkusz 2-gi T. I, *Zuch dziewczyna*, przez autorkę powieści Lady Verner. przekład z angielskiego.—Przegląd mód.—13 wzorów i robót z opisem. Sekretarza gospodarskie.—Dyspozycya stołu.